



IRMA

MARCIN GRYGLIK

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

[RECENZJA] "Irma" Marcin Gryglik

nimfa bagienna

Pułapki historii

PRL stał się modny. Przynajmniej w literaturze. Coraz częściej autorzy decydują się na osadzanie akcji swoich książek w owych niesławnych czasach. Tą drogą poszedł też Marcin Gryglik. Akcja powieści „Irma” toczy się za rządów Gomułki – konkretnie w roku 1964, a więc w okresie „naszej małej stabilizacji”. To lata, gdy wspomnienie wojny było jeszcze wciąż żywe, a rany jedynie powierzchownie zasklepione. Okres wybrany przez autora nieprzypadkowo, i nie chodzi mi tu o fascynację pisarza przeszłością, a o intrygę, czy szerzej o akcję, która w innych czasach i innym miejscu nie miałyby racji bytu. Trudno mi powiedzieć, czy Marcin Gryglik dopasował fabułę do czasów, o których chciał pisać, czy wręcz przeciwnie – dobrał czas i miejsce tak, by fabuła mogła się obronić. To nieważne. Ważne jest, że całość została dobrze zakomponowana i czytelnik dostał do ręki kawał przyzwoitej powieści kryminalnej.

Wiemy już czym „Irma” jest. Czas powiedzieć o tym, czy nie jest. Otóż nie jest to w żadnym przypadku powieść milicyjna. Nie jest to też klasyczny kryminał. Owszem, mamy w „Irmie” i milicję, i prowadzących dochodzenie funkcjonariuszy, ale nie oni są tu najważniejsi. Wręcz przeciwnie. Odgrywają rolę co prawda istotną, ale jedynie drugoplanową. Co więcej, przedstawieni są dość schematycznie: jako niezbyt rozbudowani, twardogłowi aparatczycy. Nie ma więc tego, co w klasycznym podejściu było niezbędne, czyli genialnego detektywa. O tym, że prawda w końcu wyjdzie na jaw – bo wyjść musi, inaczej cóż by to był za kryminał! – zadecydują działania zupełnie innych osób. Ale o tym sza! I tak już trochę za dużo powiedziałam.

Książka Marcina Gryglika to powieść pod względem formy na wskroś współczesna: wielowątkowa, z bardzo rozbudowaną galerią postaci. Na opisane w niej wydarzenia możemy spojrzeć z różnej perspektywy, dostrzec rozmaite aspekty i niuanse wydarzeń.

Autor konsekwentnie buduje portrety swoich bohaterów. Dbą o to, by kolejne osoby pojawiające się na kartach książki miały wyraźną osobowość, motywację, wady i zalety. Postacie w większości są wiarygodne i wielowymiarowe (w większości, bo jak już wcześniej wspomniałam, nie dotyczy to milicjantów, wyjątkowo płaskich i sztampowych). Dodaje to książce dodatkowego smaku. Podczas lektury nie tylko czekamy na rozwiązanie zagadki kryminalnej, ale także – a może przede wszystkim? – śledzimy losy bohaterów, szczerze się nimi przy tym przejmując.

Nie rozczarowuje również fabuła – logiczna i przemyślana. Autor ma dobry pomysł na intrygę. Ciekawie prowadzi akcję, komplikuje ją na tyle, by historia była interesująca, nie popada jednak przy tym w nadmierne udziwnienia. Dzięki temu „Irmę” czyta się płynnie i z dużą przyjemnością.

Gdy brałam książkę do ręki, zastanawiałam się, jak autor urodzony w roku 1985 poradzi sobie z warstwą historyczną. Okres PRL-u to dla pisarza materia bardzo niebezpieczna. Niby historia, ale nie do końca: żyją wszak jeszcze ludzie, którzy owe czasy doskonale pamiętają i od razu wyłapią każdy błąd, każdą nieprawdę. Jak poszło autorowi „Irmie”? Na to pytanie trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Formalnie jest OK. Nie ma w powieści ani rażących błędów merytorycznych, ani rzucających się w oczy anachronizmów, ale... No właśnie, „ale”. To nie jest PRL. Nie ta atmosfera, nie ci ludzie. Bohaterowie Gryglika to osoby na wskroś współczesne. Zachowują się jak w XXI wieku, myślą jak w XXI wieku, reagują jak w XXI wieku i nie zmienia tego włożenie im w usta kilku frazesów o przewodniej roli partii. Myślę, że czytelnikom urodzonym po roku 1985 nie będzie to szczególnie przeszkadzało, wręcz przeciwnie, pomoże, bo będą mogli łatwiej zrozumieć bohaterów „Irmie”, ale

osoby starsze z pewnością wyczują fałsz.

Do omówienia pozostał jeszcze jeden, często pomijany w recenzjach, a przecież bardzo ważny aspekt - język powieści. Marcin Gryglik piórem włada sprawnie. Widać, że nie jeden tekst w życiu napisał. Wie, jak - manewrując jedynie językiem - przyśpieszyć lub zwolnić tempo, jak poprowadzić dialog, by brzmiał autentycznie (choć w moim odczuciu nieco nadużywa wulgaryzmów, ale to kwestia bardzo indywidualna), jak przemycić w tekście opisy tak, by dodały powieści kolorów, nie zmieniając się w przy tym w nieznośne dłużyzny. Szkoda tylko, że w tej beczce miodu trafiła się łyżka dziegciu, czyli niestaranna redakcja. Rozumiem, że można „puścić” literówkę, rozumiem, że można przeoczyć drobną niezgrabność językową, rozumiem, że może komuś umknąć pomniejsza niekonsekwencja. To wszystko rozumiem. Są jednak granice, których przekraczać nie wolno. A taką granicą jest sytuacja, gdy czytając zdanie zaczynamy kombinować, co właściwie autor chciał przez to powiedzieć. Bo cóż, na przykład, ma oznaczać zdanie (str. 209):

„Wszystkie swoje potrzeby zaspokajał nawet nie kochankami, ale kobietami, które musiały iść z nim do łóżka w zamian za seks?”

Takie wpadki są bardzo przykre, bo czytelnik postrzega książkę jako całościowy produkt i autorowi dostaje się rykoszetem za grzechy, które nie do końca są jego winą.

Agnieszka Chodkowska-Gyurics